

Z cyklu: Sylwetki psychoterapeutów

„NIE DAĆ SIĘ ZASZUFLADKOWAĆ” — ROZMOWA Z RYSZARDEM IZDEBSKIM

Wanda Szaszkievicz — Dawno planowałam rozmowę z Tobą w cyklu „Sylwetki psychoterapeutów”, ale gdy pracowaliśmy ze sobą na co dzień, nie było na nią czasu, gdyż inne ważne sprawy pochłaniały nas w całości. Ponadto trudno o dystans do najbliższych osób, z którymi się pracuje. Najczęściej jest tak, że my, terapeuci, w jakimś momencie życia zawodowego wchodzimy do istniejącego już zespołu, włączamy się w nurt zastanej rzeczywistości i płyniemy w nim razem z innymi. Mam wrażenie, że z Tobą było inaczej. Gdy Cię poznałam, a pracowałeś wtedy w Klinice Psychiatrii, zwróciłam uwagę na to, że jesteś i chyba zawsze byłeś w czołówce. Zajmowałeś zwykle pozycję osoby, która z jednej strony nie poprzestaje na istniejącym, tylko dąży do rozwoju, coś wnosi, a z drugiej strony chce się z tego nurtu wydostać. Chciałabym zapytać, czy zdajesz sobie z tego sprawę i czy się z moim widzeniem zgadzasz, a jeśli tak, czy wiesz, skąd Ci się to wzięło?

Ryszard Izdebski — Wydaje mi się, że to jest trafny opis mnie. Lękam się szufladki, w której można zostać na zawsze i nie móc się z niej wydostać. Co chwilę wydawało mi się, że odkryłem coś bardzo ważnego, lecz będę musiał z tym zostać w tej szufladce i już w niej dokonać żywota. Prawie zawsze w tym samym momencie usiłowałem się z niej uwolnić. Miałem paru różnych ważnych przewodników, którzy w jakiś sposób mnie do tego zachęcali. Na samym początku pracy w poradni wychowawczo-zawodowej spotkałem zespół, w którym byli Jurek Nieniewski, Halina Mudyń (potem Nieniewska), Marysia Różańska. Odbyli oni ważne staże życiowe w Rasztowie. Pracowaliśmy już wtedy z rodzinami w diadach terapeutycznych, wprawdzie rozłączonych, bo kobieta na przykład prowadziła terapię z rodzicami, a mężczyzna z dzieckiem, które dziś nazywamy pacjentem indentyfikowanym. W przyspieszonym trybie przeszedłem szkolenie w psychoterapii. Nieniewski był troszkę guru, a dziewczyny mnie wepchnęły od razu w szufladkę ich pełnoprawnego partnera. Najpierw mi się to bardzo spodobało, ale po roku, będąc sam w gronie siedemnastu kobiet w poradni, poczułem, że nie chcę tam zostać na zawsze. Poszedłem na staż do krakowskiej Kliniki Psychiatrii, na oddział młodzieżowy, który prowadziła pani Maria Orwid (wtedy jeszcze docent), a psychologami opiekowała się dr Wanda Badura-Madej. Poznałem tam różnych terapeutów, takich jak Jacek Bomba, Agata Siudak, Romek Kwiatkowski. Za ścianą byli Jurek Zadecki, Zbyszek de Barbaro, Andrzej Cechnicki — ważne dla mnie osoby, ważne figury też dla psychiatrii. I wtedy poczułem dużą różnicę między poradnią a kliniką. Postanowiłem porzucić tę pierwszą i pozostać w klinice. Taki miałem okres porzucania: zaniechałem też studiów doktoranckich z filozofii. Wydawało mi się, że komuna mnie przetrwa i że nigdy sobie zawodowo nie „pofilozofuję”.

W.Sz. — Z czego wynikała ta zmiana? Czy właśnie z tej obawy przed pozostaniem — jak to wcześniej ująłeś — w szufladce? Powiedziałeś, że dość szybko, gdy już czuleś, iż pozostajesz w miejscu, z którego trudno się będzie wydostać, uwalniałeś się z tego „zamknięcia”. A w końcu jednak zostałeś w klinice na długie lata. Może to była wystarczająco pojemna szuflada? Chyba jednak dla Ciebie w ostatecznym rachunku niewystarczająca, zważywszy na to, co robisz teraz.

R.I. — Nie wiem, może ta metafora nie jest doskonała, ale gdyby przy niej pozostać, to powiem, że zawsze myślałem, iż to pacjent psychiatryczny jest w jakiejś szufladce, z której powinienem go wyciągnąć. Aż zobaczyłem, że w pewnym sensie jestem razem z nim w niej. I szukałem najlepszych sposobów wychodzenia. Równocześnie widziałem różnych ludzi w różnych szufladach i byłem świadkiem tego, że oni chcą w nich siedzieć, a gdy już wyjdą, to znów do nich wracają! Jest coś bardzo złożonego, co ich do tych szuflad z powrotem wciąga. I że ja ich pochopnie chcę uwalniać. A co do mojego własnego działania w poszukiwaniu wyjścia z potrzasku, to chyba bierze się ono z moich doświadczeń. Zwróciłem uwagę, gdy analizowałem swój genogram, na moje miejsce w rodzinie po utracie przez nią mojego starszego brata, który zmarł jako dziecko na serce. W mojej rodzinie jest narażenie kardiologiczne. Taki był opis z dzieciństwa, dotyczący mojego imienia i jego znaczenia: „Ryszard Lwie Serce”. Teraz mnie to trochę śmieszy, ale to imię długo wyznaczało styl mojego życia, powiedziałbym — nadmiernie heroiczny. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, to się trochę uspokoiłem. Zobaczyłem też, że żyję w środowisku osób odważnych, aktywnych.

W. Sz. — Mówimy o czasach komuny, późnych latach siedemdziesiątych. Przypomnij proszę, czym wtedy zajmowaliście się poza pracą.

R.I. — Rzeczywiście wspaniałe było to, że otaczali mnie wtedy ludzie, którzy się nie bali. Ja też miałem delegację do zachowań odważnych, a trzeba było działać. Należało do tego budowanie struktur „Solidarności” w służbie zdrowia. Pamiętam sytuację, gdy mnie wybierano na przewodniczącego komitetu założycielskiego (potem powstała komisja zakładowa) NSZZ Solidarności w Kobierzynie. Odbywało się to w sali teatralnej, potwornie zniszczonej, właściwie zrujnowanej, po której biegały szczury. Ja byłem człowiekiem nowym, spoza Kobierzyna, wyglądałem inaczej niż teraz, bo miałem długie włosy, brodę (śmiech). Przeszedłem w tych wyborach jednogłośnie. A potem w czasie stanu wojennego i ostrej podziemnej walki jeździliśmy z psycholożką Grażyną Mącznik daleko poza Kraków maluchem (mały fiat), żeby na sicie drukować plakat z napisem CDN z charakterystyczną chorągiewką. Do dziś wrusza mnie zapach pasty Komfort, która dodawana była do farby drukarskiej, żeby świeżo zadrukowane strony się nie kleiły. Z kolei z Jasiem Polkowskim — poetą i wojownikiem — współpracowaliśmy przy wydawaniu i dystrybucji podziemnych książek. Przewożenie „bibuły” z Warszawy z Oficyny „NOWA” do Krakowa wykończyło zawieszenie mojego fiata 127. W podziemiu byli rozmaici koledzy z kliniki przy ulicy Kopernika: Zbyszek de Barbaro, Staszek Kołakowski, Bogdan Klich, późniejszy minister. Dużo robił i bardzo był odważny Andrzej Żuławski, pedagog z naszej kliniki. Pamiętam też śmieszne

wydarzenie, które mogło się dla mnie źle skończyć. Przywiozłem sobie z Niemiec żółtą farbę w sprayu do pomalowania felg mojego malucha i resztką farby pięknie wymalowałem w nocy na kontenerze, pod którym zwykle parkowałem, znak Polski Walczącej, kotwicę. Farba była charakterystyczna, ostra i trudno było nie skojarzyć autora napisu. Ale nie zostałem zawodowym grafficiarzem.

Wracając do wątków zawodowych, za każdym razem, gdy znajdowałem się w jakimś miejscu i czułem, że jest to urocze miejsce, fantastyczni w nim ludzie, to równocześnie obawiałem się, że to miejsce może mnie jakoś zatrasnąć. Tak też było z moją ówczesną szefową, z którą bardzo lubiliśmy się, może nawet kochaliśmy się w tym sensie, że byłem, pewnie nie wyłącznie, ale ukochanym dzieckiem pani profesor Marii Orwid, która mi dużo wybaczała, na wiele pozwalała. Równocześnie, jako jeden z nielicznych nigdy nie byłem z Nią „na ty”, bo się bałem, że ta relacja mnie zatrasnie w szufladzie przyjaźni. Dzisiaj trochę tego żałuję, bo nie mogę powiedzieć o Niej „Marysia”, tak jak wy wszyscy, bo byłaby w tym jakaś nieprawda.

W.Sz. — Rozumiem, że była to jedna z najważniejszych osób dla Ciebie już na początku drogi psychoterapeutycznej. Powiedz proszę, jak wyglądał ten początek.

R.I. — W latach 80. chciałem koniecznie być psychoanalitykiem i stażowałem w Niemieckiej Akademii Psychoanalizy. Nie trwało to dramatycznie długo, bo niespełna pół roku, ale z polskiej perspektywy było to wyzwanie. I już myślałem, że to jest mój tor życia, ale tak się nie stało. Bo właśnie dostrzegłem szufladkowość tego nurtu. I mogę powiedzieć, że to, co w sobie szanuję, to właśnie to, że się nie dałem zaszufładować. Choć to budzi też różne niepokoje, że nie mam porządnej szuflady, jestem pozbawiony ram. Jedynie, czego niezmiennie się trzymam, to tego, że próbuję zawsze stać przy kimś, kto ma gorsze niż inni położenie.

W.Sz. — Czyli szukanie dla tej osoby zmiany jej położenia na lepsze, stało się dla Ciebie wyzwaniem. Inaczej mówiąc to „gorsze” położenie człowieka, w tym wypadku pacjenta, obliguje Cię do szukania dla niego drogi wyjścia z impasu.

R.I. — Tak, paradoksalnie na początku pracy zawodowej skutecznie pomagałem ludziom, chociaż byłem tak naiwny, że nie zdawałem sobie sprawy z tego, za jak trudne rzeczy się biorę. W oczach pacjenta uchodziłem za kogoś, kto ma wiarę, a nawet pewność, że prowadzi w dobrą stronę. Z czasem tej wiary mi ubywało, bo miałem coraz więcej wiedzy. Ale nadal chcę w sobie utrzymać ten fragmencik naiwnego, nie tylko na przekór i po to, żeby uchodzić za antypsychiatrycznego bojownika, bo to mnie już dzisiaj nie cieszy. W tamtych czasach to było potrzebne, miało swoją funkcję.

Dzisiaj staram się unikać słowa „pomaganie”, bo uważam, że pomaganie to proteza, że to jest de facto osłabianie. W miejsce tego odpowiadają mi różne metafory, takie jak na przykład ta, że „wiem, że nic nie wiem”. To jest głęboka prawda, bo daje przestrzeń, żeby się dowiedzieć. W rozmowie terapeutycznej, tak jak i w życiu, przydatne są żywe metafory (jak je nazywał Deissler), takie, które otwierają, a nie zamykają. Niektóre mity, skądinąd potrzebne, też zamykają, natomiast baśnie zawierają rozwiązania.

W. Sz. — Przypomniałam sobie ostatni wywiad z Tobą w Tygodniku Powszechnym, w którym wspominasz swoje młodzieńcze życie, porównując je z życiem dzisiejszego nastolatka, próbującego się jakoś w tym świecie odnaleźć. Opowiadasz, jakie wówczas popełniałeś czyny, które zasługiwałyby na pewne etykiety psychopatologiczne. Ostatecznie to właśnie nastolatek stał się najważniejszym obiektem twoich oddziaływań. Oczywiście prowadzisz terapię rodzin, ale to adolescent jest dla Ciebie tym identyfikowanym jako pacjent. Jak Ci się udało utrzymać integralność, biorąc pod uwagę twoje wykształcenie pedagogiczne i psychoterapeutyczne? Bo to są obszary czasem kłócące się ze sobą. Na przykład normatywność, z perspektywy której się wypowiadasz do rodziny na temat tego, co jest ważne w wychowywaniu. I tutaj jednak przyjmujesz postawę kogoś, kto wie, co jest w nim potrzebne. Wprawdzie nie doradzasz, ale zajmujesz stanowisko w tej sprawie. I równocześnie udaje Ci się uchodzić za kogoś, kto rozumie wszystkie strony. W jaki sposób udaje Ci się to połączyć, bo wiem, że się udaje? Nie spotkałam nikogo, kto z takim powodzeniem integruje te dwie perspektywy. Mam skojarzenie z Januszem Korczakiem.

R.I. — Może nareszcie przestałem się wstydzić bycia też pedagogiem. Bo początkowo unikałem tej identyfikacji, nie używałem w ogóle tego tytułu zawodowego. Poszedłem na studia z psychologii klinicznej, gdzie spotkałem takiego fajnego Pana Włodzisława Sanockiego i odkrywałem różnicę między psychologią i pedagogiką, przez dłuższą chwilę sądząc, że lepiej jest być psychologiem. A w tej chwili nie uważam, że jestem pedagogiem, psychologiem czy kimś takim. Nawet bycie psychoterapeutą mnie też śmieszy, bo to tak, jakbym miał aspiracje, żeby komuś duszę leczyć, zmieniać, ulepszać. Coraz bardziej wydaje mi się, że zajmuję się jedynie rozmawianiem z ludźmi o sprawach, które ich nurtują. Oni z jakichś powodów do mnie się zwracają. Może dlatego, że o mnie słyszeli, albo uważają, że skoro pracuję w tak szacownej instytucji, to powinienem coś wiedzieć. Zauważyłem, że coraz bardziej ten rodzaj wychowywania czy wspierania polega w moim wydaniu tylko na stawianiu pytań. Wygląda na to, że jest to jakiś rodzaj doradzania, a to naprawdę nie jest nawet naprowadzanie, tylko pytanie o ścieżki, którymi ci ludzie chodzą: czemu te ścieżki im odpowiadają, czy zamierzają nimi zawsze podążać. Ludzie chętnie się angażują w dialog, który nie wiadomo dokąd zaprowadzi. Z drugiej strony staram się pamiętać, że oni mnie wynajmują tylko do pewnej historii i staram się pilnować, żeby nie zrobić czegoś nadmiarowego. Zależy mi na tym, aby pacjent po terapii rozpoznał się w lustrze.

W. Sz. — Czyli ta integracja w Twoim wydaniu polega na docieraniu do wiedzy innych osób o sobie samych i do ich woli zmiany swojej sytuacji. Nie dysponujesz zbiorem prawd ani wypróbowanych metod postępowania, masz tylko swoje doświadczenie i zaciekawienie doświadczeniem innych.

R.I. — Nawet czasami sam siebie zaskakuję, że jestem aż tak nieporządny. Uczę kogoś pewnych prawideł, on je stosuje, bo jest moim koterapeutą, zadaje pięknie pytanie cyrkularne. A mnie to już nudzi, nie chce mi się wytrwać w tym zadawaniu pytań tylko wydaje mi się, że ja mogę sobie pozwolić na drogę na skróty, bo jeśli

już coś wiem, to niepotrzebne mi są te pytania. Rodzina wtedy już też to wie razem ze mną. A z drugiej strony koledzy mnie poskramiają i pokazują, że takie rutynowe pytanie, porządnie w całej rodzinie poprowadzone, może odsłonić coś dla niej bardzo ważnego. A ja bym może nie miał już tej cierpliwości. Odkąd już Ciebie i Mitki de Barbaro nie ma w klinice, pracuję z samymi młodymi kobietami, które mogłyby być moimi córkami. Jest w tym pewien dyskomfort — gdy spotykam się z nimi na ulicy, przed domem rodziny, do której docieramy na terapię i witamy się serdecznie cmok, cmok, to czasem zastanawiam się, co ludzie o mnie myślą — ojciec czy sutener? Na początku czułem pewne osłabienie, brak oparcia, konieczność dodatkowej mobilizacji. Ale dość szybko nabrałem do tych młodych zaufania. Może przez pryzmat samego siebie z przeszłości, że skoro oni mają śmiałość nazywać siebie terapeutami, to muszą mieć również odwagę doprowadzania do zmiany.

W.Sz. — Pytanie, czy mają tylko odwagę, czy też nowe pomysły na rozwój, zmianę sposobu, stylu pracy Zespołu Leczenia Domowego? Na początku istnienia zespołu mieliśmy dużą determinację poszukiwania nowych ścieżek terapeutycznych. Mam takie wspomnienie nieustannego rozważania słuszności terapeutycznych posunięć. Nadmienileś o początku swojej pracy w Wojewódzkiej Poradni Wychowawczo-Zawodowej, potem byłeś przez 8 lat w Oddziale Dziecięcym Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży w Kobierzynie, która potem w całości przeniesiona została z powrotem na ul. Kopernika.

R.I. — W międzyczasie, na początku lat osiemdziesiątych, rozpoczęliśmy z obecną panią profesor, a wtedy Basią Józefik, nowatorski okres ambulatoryjnej pracy z rodzinami. W ukryciu przed Marią Orwid — która uważała, że na to jeszcze za wcześnie — przy ul. Skarbowej 4, w gabinetach profesora Szymusika i profesor Ewy Broszkiewicz, po godzinie 16.00 przyjmowaliśmy do terapii rodziny z dziećmi i adolescentami. I w końcu właśnie w nowej siedzibie, na Kopernika, powstał kolejny duży, jakby się dzisiaj powiedziało, projekt stworzenia Zespołu Hospitalizacji Domowej, do którego przyszłaś pracować.

W.Sz. — Właśnie o tym myślę, o niedawno jeszcze „naszym” zespole i zastanawiam się, jakie zmiany w jego funkcjonowaniu wprowadzają wspomniane przez Ciebie młode osoby, terapeuci, z którymi pracujesz. Myślę oczywiście też o całej klinice, o następującej w niej zmianie pokoleniowej, o zmianie funkcjonowania tej instytucji w kontekście wciąż zmieniającego się sposobu finansowania leczenia. To wszystko jest z pewnością powiązane, ale mnie interesuje to, co stanowi istotę terapii. Czy i w jaki sposób młodzi przyczyniają się do jej rozwoju? I w jakim kierunku on postępuje?

R.I. — Właściwie nie wiem. Sam też się zastanawiam nad tym, czy ten zespół jedzie swoją drogą, na ile ja jestem hamulcowym, na ile rozwojowym. Wydaje mi się, że pewne zamieszanie wynika z tego, iż ludzie, którzy przychodzą do zespołu, przechodzą szkolenie psychodynamiczne, a nawet psychoanalityczne. W pracy z rodzinami, która wymaga uwzględnienia kontekstu, w bezpośredniej pracy z żywą tkanką rodzinną, jest

to jakiś rodzaj przeszkody. I trudniej się pracuje. Wszyscy młodzi terapeuci dzisiaj chcą mieć indywidualnego pacjenta w prywatnym gabinecie, za pieniądze, co sprawia, że im dłużej pacjent do nich przychodzi, to tym bardziej jest bezpiecznie. Wystarczy mieć pięciu stałych pacjentów, żeby przeżyć. Ja inaczej, mam jakąś niezliczoną ilość pacjentów i spotykam ich na chwilkę w życiu. To często jest konsultacja, a nie to, co można by nazwać długoterminowym leczeniem. Mam zamęt w tej sprawie. Coraz mniej widzę wokół siebie terapeutów, którzy mówiliby o sobie, że są systemowymi terapeutami rodzin. Robi się podział między psychoterapią a terapią rodzin. Nawet w Polskim Towarzystwie Psychiatrycznym widać, że są dwie sekcje. Wygląda na to, że tak jest ze wszystkim — coraz więcej powstaje szkół, podszkół, wokół nich organizuje się rozmaite kursy. Z pewnością za tym nie nadążam. Ale podstawa jest taka sama, jak za Twoich czasów. Dwoje terapeutów — zawsze kobieta i mężczyzna — jedzie do czyjegoś domu na sesję terapeutyczną, a stażysta z tylnego siedzenia czyta notatki z poprzedniego spotkania.

W.Sz. — Wydawało mi się, że terapia rodzin w krakowskiej klinice jest mocno reprezentowana. Czy chcesz powiedzieć, że ostatnio osłabła, czy że się zmienia?

R.I. — Obecny szef kliniki — Maciek Pilecki — mówi, że jest z ducha psychodynamicznym terapeutą, czyli wyznacza inny kierunek niż poprzedni szefowie. Te agendy, które powstały, które znasz, funkcjonują po staremu, pytanie, czy przetrwają w takim kształcie. Jak dobrze wiesz powstał Krakowski Instytut Psychoterapii Stowarzyszenia Siemacha (zwany KIP-em) stosujący inny sposób zdobywania środków na terapię i przyjmujący inny rodzaj pacjenta. Jak mówi pewien terapeuta rodzin, a nasz przyjaciel z Hiszpanii Valentin Escudero, coraz częściej pracujemy z rodzinami z zewnętrzną motywacją. Są oczywiście terapeuci, jak Zbyszek de Barbaro, którzy mają do czynienia z pacjentami z silną, własną motywacją, którzy rok czekają na konsultację, ale my, czyli zespoły KIP-ów, przyjmujemy pacjentów, którzy są jak najdalsi od idei bycia czyimikolwiek pacjentami. To jest bardzo ciekawe, ale wymaga innego podejścia. Taka rodzina ma bardzo złożoną motywację i wszyscy w tej rodzinie mogą mieć łatkę identyfikowanego pacjenta.

W.Sz. — Z pewnością wciąż jest to prawdziwe wyzwanie. Zastanawiam się nad konceptualizacją tego, co się robi w tych bardziej społecznych niż klinicznych podejściach. Bywa, iż w obu miejscach pracują ci sami terapeuci. Pamiętam, gdy jeszcze kierowałam jednym z KIP-ów, jak szukaliśmy metod, sposobów skutecznego dotarcia do rodziny, żeby być dla niej przydatnymi, aby mogła wybrnąć z kryzysu.

R.I. — Narzędzie terapii rodzin, którym są spotkania z nimi na terenie domu, wygenerowane przez nasz Zespół Leczenia Domowego, stało się narzędziem używanym przez wszystkie oddziały Krakowskiego Instytutu Psychoterapii. Powołaliśmy ich w samym Krakowie trzy: pierwszy na Kazimierzu i następne dwa w Nowej Hucie. Wszystkie szybko się ukorzeniły we wspólnej „poetyce”. Wiele naszych działań — mówię o aktywnościach osób, które podjęły się kierowania tymi zespołami, a które

wywodzą się z kliniki, przecież byłaś jedną z nich — stało się inspiracją do pracy młodych terapeutów, prowadzących trudne rodziny. Między tymi terapeutami istnieje bardzo dobre porozumienie, co bardzo ułatwia pracę.

W.Sz. — Od dłuższego już czasu pełnisz funkcję dyrektora sektorowego w Siemasze, czyli zarządzasz jej agendami terapeutycznymi. Dzięki dobrej wymianie informacji, dzięki wspólnej idei, wspólnemu językowi, można podejmować działania integrujące obydwa plany dotyczące młodzieży: wychowawczy i terapeutyczny. Jest to z pewnością również Twoja zasługa, że udało się stworzyć, a następnie pogłębić porozumienie między zespołami SPOT-ów Siemachy, wychowującymi, edukującymi, ale też oddziałującymi socjoterapeutycznie, a zespołami KIP-ów zajmującymi się stricte terapią rodzinną oraz indywidualną. Wszystkie te agendy uwzględniają kontekst życia młodzieży, która do nich trafia. Umiejętnie współpracują z rodzinami, ze szkołami, a także ośrodkami pomocy społecznej i nawet kuratorami sądowymi. Ponieważ tak bardzo zaangażowałaś się w budowę imperium, jakim się stała Siemacha, w rozwijanie idei, myślałam nawet przez chwilę, że porzucisz klinikę na rzecz tego stowarzyszenia. Jednak zostałeś i sądzę, że z zyskiem dla zespołu, gdyż stanowisz gwarancję jakości. I tego, że tu, gdzie jesteś, zawsze dzieje się coś ciekawego, co z pewnością stymuluje rozwój tego miejsca. Nie ma tej szuflady, o której mówiliśmy, a w której można by się wygodnie umościć. Teraz nawet myślę, że dzięki temu, że jesteś w Siemasze, zostałeś w klinice. Jak długo pracujesz w stowarzyszeniu?

R.I. — Imperium Siemacha od przeszło 20 lat buduje ksiądz Andrzej Augustyński, ja jako dyrektor sektora terapii pomagam mu od 10 lat. Tak trochę już bilansując ten czas, muszę podzielić się najpierw smutną refleksją, że nie jestem niezastąpiony (śmiech). Na początku, gdy byłem dyrektorem pierwszej filii KIP-u myślałem, że jest świetnie i tak będzie do końca życia. Potem zmieniałem miejsce i myślałem „oj, jak oni będą mnie żałować, jak sobie dadzą radę beze mnie?”. Z czasem okazało się, że wcale nie cierpią i dobrze sobie radzą. Przyjemnie też oswoiłem się z tym, że zmiana mnie już nie przeraża i nie jest związana z osamotnieniem, nie czuję się już porzucony. Ludzie widzą mnie już w innej roli i w tej roli mnie odkrywają czy poszukują na nowo. To oczywiście zmusza do wysiłku i sprostania wciąż nowym wyzwaniom. Gdy te zmiany zaczęły przyspieszać, ogarnęła mnie tęsknota, że chciałbym jednak mieć taką wypasioną szufladę, spokojnie sobie w niej posiedzieć i wygodnie się rozpierać. Oprzytomniałem jednak i znowu wróciłem do starej roli człowieka wciąż poszukującego, a nie mieszkańca „Szuflandii”.

W.Sz. — Z drugiej strony te nowe wyzwania daleko przekraczają granice Krakowa, już nie mówiąc o społeczności lokalnej dzielnic, w których i dla których powstawały pierwsze siemachowe DOS-y (Dzienne Ośrodki Socjoterapii), zwane teraz SPOT-ami. Gdy powołaliśmy drugi oddział KIP-u, na osiedlu Krakowiaków w Nowej Hucie, włożyliśmy z zespołem dużo pracy w rozpoznanie specyfiki tego miejsca; wiem o tym, bo to był „mój KIP”. Mam poczucie, że granice działań Siemachy wciąż się przesuwają, a chyba praca w jej agendach powinna być wyznaczona przez system, w którym ta

społeczność (też i terapeuci) żyje. Rozmach w powoływaniu nowych placówek jest tak duży, że zacząłeś jeździć do innych miast, i to odległych, jak Rzeszów czy Wrocław. Dobrze, że na tych trasach powstały autostrady, gdyż możesz tam docierać w ulubiony swój sposób, szybkim autem. Czy uważasz, że idea Siemachy jest do przeniesienia w trochę inny świat? Nawet przy założeniu, że staje się on coraz bardziej globalny?

R.I. — Zaczęła mnie pociągać idea takiej sieci, jak McDonald's. Podobało mi się zawsze to, że czy jechało się przez Czechy, Niemcy czy Polskę, to zawsze można było skorzystać i nie otruć się jedzeniem w ich firmowych barach przy autostradach. Teraz zresztą ta sieć się dźwignęła i jest bardziej elegancka, są kawiarnie etc. Pomyślałem, że z sieciowością wiąże się pewna przewidywalność i zaspokojone oczekiwanie klienta, że tam będzie ciepło, czysto i dobrze się zje. Na początku myślałem o tej ekspansji poza Kraków nieśmiało, a teraz z większą pewnością, gdy widzę, z jakim odzewem naszych potencjalnych kolegów, pracowników i klientów, spotyka się ta idea. Mamy ją już dobrze opisaną, skonspektowaną, obliczoną i co najważniejsze — merytorycznie sprawdzoną. Zatem warto to powielić i stać się fragmentem szerokiej sieci Krakowskiego Instytutu Psychoterapii. Wiadomo też, że nie wszędzie psychoterapia poza Narodowym Funduszem Zdrowia jest opłacana, a wszędzie coraz bardziej poszukiwana. Poza tym, pracując poza funduszem, nie mamy tej bramki psychiatrycznej do psychoterapii. U nas można tę bramkę spokojnie ominąć. Co też jest przyjemnym, trochę „antypsychiatrycznym” rozwiązaniem. Jestem przygotowany na to, że być może w tym roku nie powołamy żadnej placówki, ale też możliwe jest powstanie pięciu placówek w różnych miastach. Trzeba będzie temu sprostać i mieć na podorzędziu kilka samodzielnych osób, które nimi pokierują.

W. Sz. — Jak w tej sytuacji nie zaniedbać specyfiki lokalnej każdego z tych miejsc, w których dana placówka powstaje. Pamiętasz, jak w leczeniu domowym musieliśmy brać pod uwagę różnice pomiędzy świadomością ludzi wywodzących się z różnych środowisk, mieszkających w różnych dzielnicach. Musieliśmy poznać ich język, sposoby funkcjonowania, żeby ich dobrze zrozumieć i swobodniej się w ich rodzinach poruszać. I tak na przykład w „starej” Nowej Hucie, żeby lepiej poznać potencjalnych naszych klientów, chodziliśmy na plac targowy w Bieńczycach, słuchać rozmów mieszkańców. Oczywiście wiemy, że istnieją pewne uniwersalne wartości, ale są one realizowane na różne sposoby. Co zrobić, żeby nie zaniedbać tej lokalnej specyfiki, jeśli powstające nowe placówki będą prowadzone przez ludzi z zewnątrz?

R.I. — Myślałem o tym już dawno i doszedłem do wniosku, że to jest kwestia relacji między terapeutą i rodziną. Terapeuci jako specjalistyczne narzędzie na rynku pracy są stosunkowo tani. Pomyślałem sobie, że przecież mógłbym w Sopocie prowadzić terapię. I to jest tylko kwestia, jak długo będę tam jechać pendolino czy lecieć samolotem. To jest do zrobienia — Sopot to bardzo fajne miasto, nad morzem, czuć zapach jodu. Gdy zanurzę się w tym, czym ci ludzie oddychają, poczuję, w jakim żyją klimacie — poznam ich i mogę tam pracować.

W.Sz. — Chyba raczej mówisz o konsultacji tamtejszych rodzin prowadzonych jednak przez tamtejszych terapeutów. A i tak musisz podjąć wysiłek poznania i zrozumienia ich historii. Prowadziłam w Sopocie genogramy na kursie i były to fascynujące spotkania z historią mieszkańców tego regionu, ich rodzin. Genogramy uczestników naszych kursów z różnych regionów kraju są ciekawe przez to, że różnią się ze względu na historię miejsca, z którego ludzie się wywodzą. Do kliniki przez wiele lat przyjeżdżali wielcy terapeuci rodzin, jak Tom Andersen, Hugh Jenkins czy Klaus Deissler w celu prowadzenia kilkunastu warsztatów. Oczywiście łączyła nas wspólnota idei, koncepcji terapeutycznej. Byliśmy nimi zafascynowani, korzystaliśmy z ich odkryć i umiejętności konsultacji; korzystali dzięki temu i nasi pacjenci. Ale oni nie prowadzili tu terapii, chyba by się jej nie podjęli, także dlatego, że dzieliła nas pewna różnica kulturowa, jaka jest na przykład między Polską a Norwegią. A równocześnie byliśmy sobie bardzo bliscy, bo dążyliśmy do tego samego. Dodatkowo jeszcze połączyła nas przyjaźń, jak właśnie z nieodżałowanym Tomem Andersenem. Dlatego myślę, że możesz jeździć nad morze i wspierać tam terapię, ale chyba lepiej byłoby, żeby terapeuci, którzy pracują z rodzinami, byli stamtąd.

R.I. — Tak, rzeczywiście, ale na początku powinni być w rolach naszych koterapeutów, czyli pracować z tymi, którzy są założycielami, przy nas ośmielać się, uczyć się. To, co jest bardzo pomocne, to jest GPS, dzięki któremu wszędzie trafię. Bo tak naprawdę, kto w Rzeszowie aż tak dobrze zna środowisko terapeutyczne, żeby wiedzieć, że ja nie jestem stamtąd? Podjeżdżam pod dom czy blok, pukam i ludzie myślą, że ja tam mieszkam. A ja mieszkam raz na miesiąc przez trzy godziny czy może trochę dłużej. Kapitalne jest to, że się wszystko zmieniło w makrostrukturze kraju, jest coraz więcej podobieństw niż różnic pomiędzy różnymi regionami. W coraz więcej miejsc można i trzeba docierać. Najpierw były te małe kroczki, działaliśmy tylko w funduszu i tylko w dzielnicy Krowodrza, potem już w całym Krakowie, ale nadal tylko w funduszu. Potem nadal tylko w Krakowie, ale i w funduszu, i poza nim. To nie są na szczęście takie szusy bez przygotowania, hop, skaczemy na jezioro, bo widzimy grubszy lód, tylko sprawdzanie tego lodu trwało całe lata. Pomyśl, minęło przeszło ćwierć wieku! A za chwilę będzie już jubileusz 10-lecia KIP-u, w czerwcu będzie temu poświęcona konferencja. Potrzebne jest, aby ludzie jadący do tych nowych miejsc do pracy, brali ze sobą fragmenty nas. Nawet jeśli nas nigdy w życiu nie spotkali, to ten wspólny rodzaj narracji, powiedzonka, trawestacja są ważne. Osoba Pani Profesor Orwid, której też może nigdy w życiu nie widzieli, stanowi jakiś mit założycielski. I dla mnie to jest pozytywne, bo mam nadzieję, że coś po człowieku zostaje, nie tylko w przekazie intelektualnym, ale też emocjonalnym. Że ktoś, komu podałeś rękę, jej ciepło przekaże komuś następnemu. My i nasi pacjenci jesteśmy zbliżeni tak głęboko, że bierzemy od tych ludzi ich zapachy, ich styl życia, infekcje, którymi nas zakażają, gdy np. jedziemy do kogoś, kto akurat ma gripę.

W.Sz. — Czyli nadal najczęściej pracujesz w domach. Czy nie masz już dość tego sposobu uprawiania terapii, bo jednak wymaga ona sporego wysiłku?

R.I. — Nie wyobrażam sobie, żeby było inaczej. W domu wystarczy mniej słów, one mają tam o wiele większą wagę. Trzeba wprawdzie być bardziej ostrożnym, bo

pracuje się u kogoś i to, co się odbywa, może znacząco zmienić jego życie. Gdy przychodzi on do ambulatorium, to po wizycie łatwiej strzepnie z siebie to, co usłyszał od terapeuty czy swojej rodziny.

W.Sz. — A z drugiej strony, w domu mamy często takie uczucie, że rodzina ma większą siłę na swoim terenie i może nas do siebie nie przyjąć, nie wpuścić. W symbolicznym sensie rzecz jasna, bo przecież jesteśmy u nich, rozmowa trwa.

R.I. — Tak, ale jeśli rodzina już cię dopuści do swoich spraw, to nie może to pozostać bez echa, bez zmiany. Musi poczuć twoją obecność, usłyszeć pytania, odpowiedzieć na nie, bo jesteś gościem. Z natury rzeczy rodzina jest w całości na terenie domu, bo każdy na ogół pilnuje swojego terenu i rzadko dochodzi do sceny, że ktoś w trakcie sesji trzaśnie drzwiami i wyjdzie. Bilans strat i korzyści wypada na plus tych drugich.

W.Sz. — Jeśli już tak bilansujemy, to może dotknijmy obszarów zaniechanych, zostawionych; czy są takie w Twoim życiu zawodowym? Słyszałam ostatnio, że Andrzej Wajda od lat z uporem powraca do myśli o filmach, których z różnych przyczyn nie zrealizował, chce o tym mówić, bo wydaje mu się to ważne. Czy jest coś, o czym myślałeś, planowałeś, ale ostatecznie tego nie zrobiłeś?

R.I. — Wydaje mi się, że to, czego brakuje — i tu liczę na młodych kolegów — to jest rozwój naukowy instytutu. Ja w swoim życiu ścieżkę naukową odłożyłem na bok. Może warto było, może nie, może dość rzetelnie tego nie sprawdziłem... ale z drugiej strony człowiek żyje w określonym momencie życia kraju. Dziesięć lat wypełniła mi Solidarność, zanim się z niej wypisałem. Ale nie żałuję tego czasu, bo to było wtedy najważniejsze. Był to maleńki fragmencik, jaki dołożyłem do większej budowli, z którego mogę być dumny. Ale ostatecznie też wycofałem się z uprawiania polityki i cieszę się, że mnie nie zdeprawowała. Zobaczyłem potem po ludziach, jaka to jest niszcząca siła. Nie chciałem zapisać się do partii nie tylko dlatego, że to była PZPR. Ojciec mi mówił, że przez to nie zrobię kariery. Ja go wtedy zapytałem, czemu on sam się zapisał. A on na to „no wiesz dziadek by mnie przecież zabił”. Wtedy działał ochronny, międzygeneracyjny pas transmisyjny. Teraz już samodzielnie myślę, że nie mógłbym należeć do żadnej partii. Współczuję tym, którzy wybrali ścieżkę polityki. I nie namówisz mnie, żeby zmieniać tę politykę od środka, zapisując się do jakichś struktur. Z drugiej strony wiem, że „jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy”, czuję, że skoro jakiś rodzaj mocy jeszcze w sobie mam, to chciałbym zachęcić moich młodych kolegów, żeby się zastanowili nad tym, jak sprawić, żeby się w tej codzienności, w tym zarabianiu pieniędzy, nie zadreptać na śmierć, nie zapisać się do partii „Forsa”. Na szczęście sześciu pracowników Krakowskiego Instytutu Psychoterapii Stowarzyszenia Siemacha ma tytuł doktora, dwóch czeka na obronę, a trzech kolejnych zdecydowało o podjęciu badań do doktoratów związanych z codzienną pracą terapeutyczną. To jest duży wysiłek. W badaniu przymierza terapeutycznego, którym się zajmują, wszystko musi być nagrywane, zachowania terapeutów przez stażystów są kodowane. Rodzaj ciekawej nowoczesności wkroczył do KIP-u. Wspominałaś, jak Pani Profesor Orwid

ułatwiała nam kontakt ze światem, zapraszała terapeutów ze Stanów Zjednoczonych, Włoch, Anglii i innych krajów. Uważam, że trzeba tak robić, wspierać młodych w poszerzaniu swoich naukowych kompetencji i staram się to robić.

W.Sz. — Jeszcze słowo na temat stylu Twojego szefowania. Jak pamiętam, nigdy nie formułowałeś wprost wymagań od pracowników, nie prowadziłeś kontroli punktualności czy obecności w pracy, ufałeś ludziom. Wyłącznie Twój własny przykład mógł oddziaływać i działać! Nazwałabym to kierowaniem uczestniczącym, nie takim „z góry”. Kierowaniem „przez zaniechanie”. Może teraz inaczej to wygląda, gdy kierujesz większym organizmem. Czy sam odczuwasz zmianę własnego stylu w tej roli?

R.I. — Tak i potrzebuję większej pomocy od innych! Myślę na przykład o Krzysztofie Szwańcy, że powinien zrobić szybko habilitację i tę ścieżkę naukowości, jako najbardziej do tego predestynowany, podjąć. Mam nadzieję, że nie będzie między nami w tej sprawie waśni, tylko jakieś mniejsze, rozwojowe konflikty. To będzie bardzo ciekawy, pozauniwersytecki projekt badawczy oparty o ogromny materiał empiryczny zgromadzony w KIP-ach. Uważam, że to będzie superprojekt, napędzany rywalizacją między zespołami, ale też kooperacją. Nadal mam zaufanie do młodych kolegów, że to, co robią starają się zawsze robić jak najlepiej.

W.Sz. — Pracujesz już od dawna jako superwizor psychoterapii różnych zespołów oraz psychoterapeutów zmierzających w szkoleniu do certyfikatu psychoterapeuty. Czy chciałbyś podzielić się doświadczeniami w tym względzie? Co jest trudnego, gdy się jest w tej roli?

R.I. — W swoim życiu przyglądałem się tak różnym superwizorom, jak Boguchwał Winid, Piotr Drozdowski, Magda Nieniewska, Teresa Leśniak, Teresa Żuchowicz, Czesław Czabała, Ilona Kołbik, Kazik Bierzyński, a przede wszystkim Wanda Badura-Madej, Maria Orwid i Jacek Bomba. Choć każdy miał inny styl, to fragment każdego z nich we mnie jest. Z jednej strony wydaje mi się, że znam zasady superwizji, mam wyobrażenie, jak powinien wyglądać superwizor psychoterapii, a z drugiej strony wciąż to zagadnienie rozpoznaję na nowo. Staram się pracować podobnie jak w terapii — być zaciekawionym siedzącym przede mną człowiekiem. Sprawdzać, czy on się nadaje na terapeuta. Są osoby, które bardzo pragną ten zawód uprawiać, a wiem, że powinienem je przed tym powstrzymać. Kieruję się tutaj dobrem pacjenta, nie biorę pod uwagę lamentów potencjalnych terapeutów. Uprzedzam zawsze, że moja superwizja prowadzona jest w nurcie systemowym, chociaż uwzględniam myślenie z innych nurtów. Staram się zawsze poznać kontekst rodzinny i zawodowy superwizanta, jego drogę do podjęcia decyzji o tym, że będzie próbował zmieniać rzeczywistość intrapsychoiczną drugiego człowieka. Muszę się upewnić, że nie będzie chciał sprawować władzy nad pacjentem, gdyż to jest dla mnie bardzo ważne.

Superwizja zespołu różni się od indywidualnej pod tym względem, że w większym stopniu zawiera elementy szkolenia. W superwizji indywidualnej staram się dbać o to, żeby nie być zbyt dyrektywnym i nie wyznaczać szlaku terapii po to, żeby to on odnalazł

własny. W superwizji grupowej jestem bardziej pouczający i dbam, żeby nie uruchamiać głębszych procesów, staram się być ostrożny. Lubię pracować ze stałymi grupami, bo wtedy mogę być odważniejszy. Czasem grupa świetnie pracuje, rozwija się, daje energię i czuję, że jestem przydatny. Wtedy w ogóle mnie to nie męczy. Czasem oczywiście jest inaczej. Tak samo jak w terapii — i dlatego trzeba superwizować swoją superwizję.

W.Sz. — Na koniec chciałabym Cię zapytać o życie poza pracą. Jakie są Twoje pasje, ulubione zajęcia, również te codzienne? Wyobrażam sobie, że nie masz na nie zbyt dużo czasu, ale wtedy tym bardziej są cenne. Co więcej, bywają źródłem energii, a może też refleksji tak potrzebnej w życiu terapeuty.

R.I. — Bardzo ożywczo działa na mnie kilkunastoletnia relacja z kotami, która jest nadrobieniem braków z dzieciństwa, kiedy ze względu na warunki mieszkaniowe nie mogłem mieć zwierząt. Obserwuję je trochę z perspektywy psychologa klinicznego (śmiech), niezwykle ciekawi mnie praca nad reparacją więzi u Sharsona (imię pochodzi od szarości), radzenie sobie z nadmuchanym ego Pixela albo kilogramami Rudsona (Rudy). Muszę tu zadać kłam opinii, że koty wiążą się z miejscem, a nie z człowiekiem, albo że nie są uczuciowe. Wszyscy w rodzinie mamy silne związki z tymi niewerbalnymi jej członkami i martwimy się ich nocnym życiem na wolności.

Jeśli chodzi o wypoczynek, najskuteczniej resetuje mnie kontakt z górami w zimie, realizowany banalnie poprzez jazdę na nartach i on mi wystarcza do lata, kiedy jadę nad morze, najchętniej Bałtyckie i mogę uwolnić się trochę od ludzi, poza rodziną oczywiście. Możliwe, że koty, góry i morze to antidotum na przeciążenia kontaktami z ludźmi. Teraz, kiedy wyjeżdżam, nie zabieram aparatu fotograficznego, ale nie mogę się powstrzymać, by telefonem komórkowym nie robić zdjęć. I to są zdjęcia całkiem dobrej jakości w sensie technicznym. I to są zdjęcia najczęściej ludzi, a w domu kotów. Pytasz, co na co dzień robię poza pracą. Zajmuję się ogrodem. Cieszy mnie, że sadzony przeze mnie ćwierć wieku temu żywopłot z cisów, jak co roku będę przycinał na wysokości 4 metrów. Gram regularnie w siatkówkę w drużynie, w której najstarszy po mnie zawodnik jest o 30 lat ode mnie młodszy. Jestem dumny z tego, że nie wyrzucają mnie z drużyny i jedyne, czym się troszkę martwię, to tym, że im umrę kiedyś na boisku. W sumie byłaby to całkiem fajna śmierć, tylko chłopaków żal.

W.Sz. — Ale, jak powiedziałaś, „jeszcze w zielone gramy” i niech to trwa jak najdłużej, bo zorientowałam się, że masz jeszcze bardzo dużo do zrobienia! Bardzo dziękuję za rozmowę.